

Fragment książki „Lew w salonie”

Jedną z największych tajemnic kotów domowych jest to, co robią ze swoim czasem. Nawet najbardziej rozpieszczony pies zwykle realizuje jakąś wersję swoich pradawnych obowiązków: obszczekuje obcych, aportuje, towarzyszy swojemu właścicielowi, na próżno wypatrując okazji do polowania, pilnowania stad czy innych możliwości przysłużenia się panu. Życie Cheetoha z kolei to niekończące się wygrzewanie w słońcu, przerywane jedynie gorączkowym pędem do miski tuż przed tym, jak automatyczny czasowy podajnik suchej karmy ma wyrzucić z siebie chrupiącą wyplątę. Jedzenie i odpoczynek – plus kilka przyjętych z łaską zabawek i okazjonalna przechadzka po podwórku za domem – to cała jego praca. Stwierdzenie, że zwierzę to ostatnio niewiele dla mnie zrobiło, to wręcz śmieszne niedopowiedzenie.

Być może Cheetoh jest po prostu szczególnie niemrawym przedstawicielem swojego gatunku. A może koty jako takie nie były nigdy niczym więcej niż puszystą ozdobą, czymś w rodzaju żyjącego dobra luksusowego. Ale przecież to takie zagadkowe stworzenia: musiałam coś przeoczyć. Koniec końców, są z nami od tysiącleci. Kiedy już wślizgnęły się między nas, musiały sobie znaleźć jakiś wyższy cel albo przynajmniej określoną funkcję, która wyjaśniałaby, dlaczego je tolerujemy.

Pewnego wrześnieowego poranka wybrałam się do nowojorskiego Jacob Javits Center na Meet the Breeds, doroczny festiwal zwierząt domowych, organizowany wspólnie przez American Kennel Club i International Cat Association. Wydarzenie to reklamowane jest jako okazja do zapoznania się z różnymi rasami domowych pupili („Czy Dandie Dinmont terier będzie dla mnie odpowiedni? Czym różni się angora turecka od tureckiego vana?”). Jest ono jednak także wprowadzeniem do podstawowych różnic między psami a kotami: jego program doskonale odzwierciedla talenty i zadania każdego z naszych zwierzęcych towarzyszy.

Sektor psów to strefa ciągłej ożywionej aktywności. Psy policyjne wykonują niemal wojskowe manewry, psy patrolowe straży celnej szukają narkotyków w walizkach, psy szkolone przez organizacje pomagające niepełnosprawnym prowadzą wózki. Atka, niesamowity amerykański pies eskimoski, prezentuje swoje sztuczki, a owczarki szetlandzkie tańczą conga.

W międzyczasie w drugim sektorze koty nie robią prawie nic: mruczą i wystrojone gapią się w przestrzeń. Z twarzą pokerzysty pozwalają, by mistrz ceremonii podnosił je nad głowę, żeby pokazać wszystkim, jakie są słodkie, jednocześnie w teleturniejowym stylu zadając pytania o ciekawostki dotyczące kotów albo poruszając jakieś bardziej kontrowersyjne kwestie, na przykład rzucając: „Jakiego koloru jest mój kot?” (na tę gorącą publiczną debatę przewidziano w programie show przynajmniej pół godziny). Kiedy tłum ich ludzkich wielbicieli śpiewa piosenkę lwa z musicalu Czarnoksiężnik z krainy Oz, koty pozostają nieme.

Gdy się nad tym zastanowić, trudno wskazać, jak koty przysługują się społeczeństwu: nie wykrywają min lądowych, nie ratują tonących i nie prowadzą niewidomych. Dlaczego więc po ziemi krąży o wiele więcej kotów niż psów? Dlaczego w amerykańskich gospodarstwach domowych jest ich o około dwanaście milionów więcej?